

Piotr Kotlarz

# Opowieść o psach z widmem wojen w tle



ARTLINE

**Piotr Kotlarz**

**Opowieść o psach  
z widmem wojen  
w tle**

**Gdańsk 2021**

© Piotr Kotlarz

Wydawca wersji elektronicznej: Fundacja Kultury Wobec

Gdańsk 2021

Wydanie I

Projekt okładki: Czesław Kabala

ISBN 978-83-919845-5-0

# Spis treści

Opowieść o psach z widmem wojen w tle

***Opisywane w tej książce wydarzenia są dalekie od faktów, jakie wydarzyły się naprawdę. Nasza pamięć jest wybiórcza, zaś ocena wydarzeń – a w nich zwłaszcza zachowań ludzkich – zawsze subiektywna.***



Jedenastego września 2001 roku terroryści zaatakowali World Trade Center. To tragiczne wydarzenie ponoć zmieniło losy świata. Czy wpłynęło również na mój los, czy ma wpływ na życie zwierząt, które spotkałem na swej drodze? Nie wiem. Pisząc tę powieść, mimo że jej bohaterami są psy i mieszkańcy prowincjonalnego miasta, postanowiłem jednak czasami wspomnieć o wydarzeniach w świecie.

Może rzeczywiście wszystko się z sobą wiąże. W każdym razie zawsze można przy odrobinie wyobraźni taki związek wykazać. Przypominam też sobie anegdotę o Chińczyku, który pouczał swego rozmówcę, że ten nie może nic wiedzieć o tym, co czują ryby? To takie oczywiste, a jednak często uważamy, że potrafimy poznać odczucia zwierząt, lub innych ludzi. Anegdota ta powinna uświadomić mi, że przecież bardzo niewiele wiem o psach. Trudno, pomimo wszystko spróbuję, co nieco powiedzieć i o nich.

Psy zapewne niewiele wiedzą o dotyczących głównie ludzi wydarzeniach politycznych. Nie wiedzą też o zmianach klimatycznych. Ich świat jest znacznie prostszy. Żyją kierując się zapewne tylko instynktem przetrwania i tylko od czasu do czasu, pewnie też nie wiedząc dlaczego pozwalają, by zapanował nad nimi instynkt zachowania gatunku? Zresztą, jeśli nawet wiedzą coś więcej o otaczającym je świecie, to zapewne i tak nie określą swych zachowań w sposób ludzki, nie łączą z sobą odległych spraw, nie myślą kategoriami przyczyn i skutków, jestem też prawie pewien, że nie modlą się i nie odwołują do jakiegoś boga lub losu, by im pomógł. Po prostu od czasu do czasu są głodne, czasami się boją, czasami spokojnie śpią. Nie wiem czy mają świadomość upływającego życia, czy tylko wreszcie dociera do nich fakt, że są coraz słabsze, że coraz trudniej im się poruszać. Nie potrafię też poznać świata ich uczuć. Niewiele wiem o psach, a jednak spróbuję opisać kilka lat z życia kilku z nich.

Niewiele też wiem o ludziach, a podejmuję się opisanie życia ludzi. Przecież jesteśmy tak różni. Podobno nawet to, czy jesteśmy szczęśliwi lub nie, może być uwarunkowane genetycznie.

Z trudem poruszam się w gęstwinie docierających do mnie informacji ze świata, z trudem je selekcjonuję, porządkuję, weryfikuję. Właściwie sam nie wiem, po co to robię? Przypuszczam, że poznane fakty mają wpływ na moje życie, na życie mych bliskich, na życie nas wszystkich, na życie zwierząt, na... Może i tak. Ale czy ja mogę je zmienić? Czy moje życie to

tylko trwanie, egzystencja – jak chcieliby niektórzy myśliciele z połowy XX wieku? Zostawmy te rozważania, przecież i tak nie można na nie odpowiedzieć w kilku zdaniach. Może pewną formą odpowiedzi będzie ta opowieść. Opowieść o psach, o mnie i o kilku innych ludziach, opowieść z widmem wojny, a nawet kilku wojen, i zwykłych ludzkich zmaganiań w tle.

A jednak muszę tu o tym wspomnieć. W „Gazecie Wyborczej 21 stycznia 2003 przeczytałem:

*Szuka, oszuka*

*Irak podpisał umowę z szefem inspektorów. Sami będziemy szukali głowic do przenoszenia broni chemicznej i zachęcimy naukowców do rozmów z inspektorami – obiecują podwładni Saddama. Irak musi zaprzestać gry w kotka i myszkę – komentuje umowę szef brytyjskiego MSZ.*

Kilka dni później trafiłem na artykuł o stanowisku Rosji, na której decyzję może mieć wpływ zadłużenie Iraku. Rosja może podobno odzyskać swój dług, około 7-8 miliardów dolarów, tylko popierając interwencję USA. Ropa, pieniądze – iluż ludzi będzie musiało zginąć dla tych „wartości”? Kolejne informacje: *Antyiracka koalicja coraz silniejsza. Rosja może dołączyć do zwolenników twardej linii wobec Sadama Husajna. A dziś brytyjski premier będzie namawiał prezydenta Francji do przyjęcia ostrzejszej postawy wobec Iraku. Wreszcie: Druga rezolucja a potem wojna. Kilka dni później dowiaduję się, że: Saddam łże. Powell twierdzi w ONZ: Irak nie zamierza się rozbrajać, a my nie możemy sobie pozwolić na jeszcze kilka miesięcy takiej zabawy w chowanego.* To informacja z szóstego lutego 2003 roku. Zbliżała się kolejna wojna.

I jeszcze jedno. Pisząc tę powieść muszę poruszać się w kilku czasach. Zacząłem ją ponad dwanaście lat temu, ale piszę ją teraz i skończę zapewne w ciągu najbliższych trzech, może pięciu miesięcy. Może zresztą nie, może będzie powstawać jeszcze dłużej, może w ogóle jej nie ukończę. My, ludzie, niektórzy z nas, tworzymy plany... Właśnie, plany. Czy uda nam się je zrealizować? Wiele zależy od nas, ale przecież nie wszystko.

Chcę opisać dziejące się w jakimś portowym mieście wydarzenia lat minionych. To wówczas przecież doszło do zdarzeń, których skutki

dotykały mnie wtedy i dotykają właśnie dziś. Mnie i nie tylko mnie. Wszystkich. Wydarzenia lat minionych, ale przecież i teraz, gdy pisze tę książkę coś się dzieje. Właśnie wczoraj... Nie, dziś gdy to piszę muszę stwierdzić, że było to już kilka lat temu... Czy to zresztą ważne kiedy? Dostałem pozew z sądu od pana Romana. Domagał się zapłaty za pracę, której przecież nie wykonał, mało tego, naraził mnie na ogromne straty finansowe. Ot, ludzie.

To dziwna historia. Zatrudniłem go, by pomógł mi zebrać zespół tancerzy i ułożyć później wraz z nimi choreografię do spektaklu teatru tańca według mojego libretta i scenariusza. Poświęciliśmy kilka godzin na ustalenie warunków pracy, półtorej godziny na wspólne wysłuchanie muzyki i omówienie mojego scenariusza. Po podpisaniu umowy opóźniał podjęcie pracy, wreszcie wziął udział w przygotowanym przeze mnie castingu tancerzy i zerwał współpracę z powodu nie otrzymania zapłaty, a właściwie pierwszej raty. Odmówił wykonania pracy, gdy przedsięwzięcie było w trakcie realizacji. Przecież, jeśli przerwałbym wówczas pracę nad tym projektem, to i tak musiałbym zapłacić, zgodnie z umową, jemu i drugiej choreografce, z którą zgodził się współpracować, należne im honoraria, i tak musiałbym ponieść inne koszty. Nie miałem wówczas pieniędzy gdyż Miasto (władze miasta) zwlekało z podpisaniem umowy. Łudzono mnie, a czas mijał. Podjąłem ryzyko mimo wszystko. Przecież gwarantowałem wypłatę własnym majątkiem. Spisałem z nim umowę. Od początku się z niej nie wywiązywał. Nie przekazał mi listy tancerzy, nie mógł również, to oczywiste (z powodu braku tancerzy) układać choreografii. Musiałem kontynuować przedsięwzięcie. Dziś pan Roman pisze, że wywiązał się z umowy, a przecież nie zorganizował zespołu. Nigdy nie otrzymałem od niego listy tancerzy. Nie przygotował żadnej choreografii. Nie mógł tego zrobić, gdyż zobowiązał się w umowie, czynić to wspólnie z drugą choreografką. Moim zdaniem zwykła próba wyłudzenia. Cóż, może źle sporządziłem umowę, może przegram w sądzie? Pozew otrzymałem, ale przecież wszystko zaczęło się znacznie wcześniej.

Stefan, mój brat, dziś realizuje kilka kontraktów w stoczni, ma potężną firmę. Piętnaście, może siedemnaście lat temu – pamięć ludzka jest zawodna – wrócił do Polski z wieloletniej emigracji, jako przedstawiciel wielkiego niemieckiego koncernu. Mieli budować dla naszej Marynarki



Wojennej kanonierki. Wydano już setki milionów, a kanonierek jak nie było, tak nie ma. Pierwszą po wielu perypetiach zwodowano wreszcie w 2015 roku. Zwodowano, nie znaczy jednak, że ukończono. Prace wewnątrz tego okrętu wciąż trwają. Stefan już dawno nie uczestniczy w tym projekcie, po drodze realizował kilka innych. Tak, tu właśnie pojawia się po raz kolejny problem wojen. Kanonierki to przecież narzędzia wojny.

Tak wiele wątków, a wszystkie trzeba jakoś powiązać, nadać opowieści płynność, zachować dramaturgię. Czy temu podołam? Spróbuję. Wróćmy do przeszłości, do czasu, gdy zaczyna się ta opowieść.

Psy lubiłem i miałem od dziecka. Zawsze był to jednak tylko jeden pies, tymczasem kilka lat temu pojawiło się ich w moim życiu znacznie więcej. Pięknego wilczura, Sułtana przywiozłem do nowego, kupionego zaraz po ślubie, domu, ze wsi gdzie przez poprzedni rok pracowałem w szkole. Już w nowym domu, szukając kontaktu z nowymi sąsiadami zgodziłem się na to, by Sułtan został ojcem szczeniąt wilczycy będącej własnością jednego z nich, i w ten sposób zyskałem kolejnego psa. Trzeci, maleńki kundelek uciekł od innego sąsiada do bawiących u nas na wakacjach dzieci i za żadne skarby nie chciał wracać do poprzedniego pana. Po wakacjach podarowałem sąsiadowi butelkę wina i w ten oto prosty sposób stałem się właścicielem trzech psów. Minęło szesnaście lat. Wiele się wydarzyło w tym czasie w moim życiu i w świecie, lecz nie miało to większego wpływu na życie moich psów, nie będę więc rozpisywać się na ten temat w tej opowieści. Przed czternastu laty, któregoś dnia odszedł Sułtan. Przez ostatnie lata swego życia walczył o dominację ze swym coraz silniejszym synem tak, że jego śmierć przyjąłem z pewną ulgą. Miał jakieś czternaście, może piętnaście lat, gdy odszedł. Dożył sędziwej, jak na wilczura, starości. Ulgą moja była tym większa, że sytuacja materialna mojej rodziny zamiast z upływem czasu poprawiać się stawała się coraz trudniejsza. Zlikwidowałem jedną firmę (chińskie towary, początkowo znacznie gorsze od polskich, ale o wiele tańsze, później również coraz lepsze, wyparły – tak jak i produkty wielu innych polskich rzemieślników – i moje plecaki z rynku), zlikwidowałem później drugą – renowację mebli, (rosnące koszty pracy ograniczały i czyniły coraz mniej opłacalny rynek usług), rosły też koszty utrzymania domu. Zresztą czy muszę to wszystko opisywać? Każdy zna to z własnego życia. Każdy, poza nieliczną grupą kombinatorów...

Zresztą nie, nieprawda, niektórzy przedsiębiorcy radzą sobie całkiem nieźle dzięki swej pomysłowości i uczciwej pracy. Po prostu nie trafiłem na branżę, skończyły się też czasy amatorszczyzny. Trzeba poświęcić swej pracy cały czas. Nie można być jednocześnie przedsiębiorcą i pisarzem, intelektualistą. Z różnych przyczyn znalazłem się w sytuacji, w jakiej jestem. Nieważne, chcę przecież opowiadać o psach. Moją opowieść rozpocznę od kolejnego, który nagle pojawił się w naszym życiu. Naszym, bo przecież jestem (byłem wówczas) żonaty, a piszę tak jakbym to tylko ja decydował o naszych psach. W naszym domu nie tylko o psach decydujemy (decydowaliśmy) wspólnie. Zresztą czy decydujemy, czy też życie stawia nas przed sytuacjami, w których trudno o inne decyzje?

Wróćmy do wspomnianego psa. Można tylko domniemywać, skąd wziął się w tym miejscu? Któregoś dnia pojawił się tu i odtąd był. Leżał przed jednym lub drugim sklepem i czekał. Tylko czasami podchodził do dziewcząt lub kobiet i szturchając je nosem przypominał o swoim istnieniu. Mężczyzn raczej unikał, by nie powiedzieć, że się ich bał. Podobno ktoś przywiózł go tu samochodem, pozostawił i odjechał, podobno... Zresztą czy to ważne, czy koniecznie musimy wiedzieć, co było przedtem? Czy zostawił go tu jakiś, tak zwany miłośnik zwierząt, widząc, że pies, którego hodował w celach łowieckich, boi się huk, więc bez skrupułów go wyrzucił? A może to matka przeraziła się, że zabawka, którą sprawiła swemu małemu dziecku zbyt urosła i kazała mężowi się jej pozbyć. Może wreszcie dziecko miało dość swej zabawki. Dlaczego w końcu jestem aż tak niesprawiedliwy dla ludzi, może ten pies się tylko zgubił przysparzając wiele trosk i zachu swym poprzednim opiekunom. Co rano, czasami też wieczorem, był przed jednym lub drugim sklepem. To fakt. Co jednak robił później?

Zostawmy to. Pies to pies. Był tu i basta. Wychodząc do pracy, w drodze do autobusu, mijając sklepy, często go spotykaliśmy. Ja, lub żona, kupowaliśmy dla niego kawałek karmy lub, jeśli jej nie było najtańszą wędlinę, parówkę lub kawałek „zwyczajnej”. Brał, odchodził na bok, by zjeść otrzymany kęs w samotności i tak mijały kolejne dni.

Było ciepłe lato, mieliśmy dwa własne psy i dwa koty, nie stać nas było na kolejne zwierzę.

– Jest piękny – mówiła moja żona, Wanda.

Rzeczywiście był ładny. Podobny do pinczera, średniej wielkości, brązowy. Dość duża głowa, duże, mądre, brązowe oczy i ogromne uszy. Ten pies nie da się udomowić – twierdziły ekspedientki z pobliskich sklepów i rezydujący całymi dniami przed nimi amatorzy piwa. Nie próbowaliśmy tego robić, lecz dokarmianie bezpańskiego psa stało się naszym nawykiem. W dniu, gdy nie zastawaliśmy go przed żadnym ze sklepów odczuwaliśmy pewien niepokój. Czy coś się stało? A może jednak ktoś go wziął?

Któregoś dnia spostrzegliśmy, że pies rezyduje nie tylko przed sklepem, ale czasami śpi pod płotem sąsiada w głębi ulicy. Obok niego stał garnek. Widząc mnie lub żonę podbiegał jednak do nas i szturchając nosem domagał się swojej porcji. Tak, to chyba wówczas Wanda po raz pierwszy nazwała go imieniem Haracz.

Czasami, widocznie już nażarty (karmili go i inni mieszkańcy osiedla, a i ekspedientki lub właściciele sklepów też zaakceptowali tego rezydenta) leżał pod płotem i pozwalał nam spokojnie pójść do autobusu.

Dziwna jest jednak natura człowieka. Mając dwa psy nie mogliśmy sobie pozwolić na kolejnego, a jednak nauczyliśmy go reagować na gwizdanie i gdy okazywał nam lekceważenie, przywoływaliśmy go do siebie zmuszając, co brzmi jak paradoks, do przyjęcia kolejnego haraczu. Czasami czuliśmy się śmiesznie i peszyli nas stojący pod sklepem mężczyźni. Prawie pięćdziesięcioletni, wydawałoby się poważni, ludzie gwizdzą na bezpańskiego psa.

Czy pies myśli? Co myślał pozostawiony pod sklepem Haracz? Czy potrafi tęsknić? Czy tęsknił za domem, który tak nagle utracił? Czy w tym domu rzeczywiście były jakieś dzieci? Może dziewczynki, skoro wciąż głównie ich szukał pośród klientów wchodzących do sklepu? Świat psa i ludzi. Jego walka. Przetrwać wśród innych psów, przetrwać w świecie, w którym dominują ludzie. Bywało, że z trudem wyzebrany kęs musiał utracić na rzecz większego psa. Walczył, lecz z czasem nauczył się, że niekiedy lepiej po prostu uciec. Jutro też będzie dzień, jutro też trzeba będzie coś zjeść.

Nie wszyscy ludzie byli mu życzliwi. Ktoś rzucił kamieniem, inny mężczyzna kopnął go tak boleśnie, że kulał przez kilka dni. Życie psa nie jest wcale tak łatwe, zwłaszcza jego życie. Na szczęście były jeszcze noce.

Jego noce. Puste ulice, niektóre domostwa nie były otoczone płotami, a i przez niejeden płot można było po prostu przeskoczyć. To jego sprawy. Ludziom nic do tego. To tylko przygodni znajomi. Wprawdzie mają dostęp do karmy, mógł pozwolić niektórym z nich na to by go pogłaskali, ale to wszystko. No niezupełnie, kilku dziewczynkom pozwolił głaskać się dłużej, czasami odprowadzał je do szkoły lub na przystanek autobusu. Czekał aż do niego wsiądą i wracał pod sklep lub pod ulubiony płot, przed którym jakaś kobieta wystawiała garnek pełen żarcia, którego zresztą zazwyczaj było pod dostatkiem. Najlepsze kęsy dostawał pod sklepem, a sklepów było wówczas na osiedlu aż siedem. Warto też było poczekać pod szkołą. Młodzi ludzie często rzucili jakąś kanapkę. Czasami tylko jakiś chłopak rzucił kamieniem lub sięgnął po kij. Nie, szkoła nie była najlepszym miejscem. Jak rozpoznać, kto dobry a kto zły? Od kogo otrzymam coś do zjedzenia i odrobinę czułości, z kto rzuci kamieniem lub uderzy kijem? – – myślał. Ludzi jest tak dużo. Jak zapamiętać wszystkie ich zapachy? Nie zawsze jednak było tak świetnie. Bywały i takie dni, że drzwi sklepów były zamknięte. Wszystkich. Albo petardy. Te pojawiały się głównie zimą. Nie dość, że zimno to jeszcze te potworne huki.

Minęło lato, jesień. Przyszła zima. Pies w ciągu dnia wciąż leżał pod płotem lub którymś ze sklepów, nikt nie wiedział gdzie spędzał noce. Jediną zmianą w naszych stosunkach było to, że czasami zamiast kupować mu coś w sklepie wystawiałem garnek z żarciem przed naszym domem i zmuszałem go, by zjadał karmę w tym właśnie miejscu.

Tego dnia padał śnieg z deszczem. Był ziąb. Widząc go skulonego z zimna pod sklepem postanowiłem, że zmuszę go do wejścia do domu. Wystawiałem garnek przed płotem, następnie przeniosłem za furtkę. Gdy wszedł do środka, zamknąłem ją. Był więźniem. Biegał wzdłuż płotu szukając wyjścia. Wreszcie skulił się w rogu. Wziąłem go na ręce, był bardzo ciężki, ale jakoś wniosłem go do garażu. Dałem garnek z ciepłym żarciem, wodę, przyniosłem materac. Pozwolił się głaskać. Miał ciepły nos. Był chory. Zostawiłem go w garażu na noc.

Następnego dnia po posiłku wypuściłem go na podwórko. Znow zaczął biegać wzdłuż płotu, próbował przeskoczyć. Miałem własne psy, nie stać nas było na kolejny kłopot, otworzyłem furtkę. Uciekł. Może szkoda, pomyślałem. Jak jednak przyjąć na stałe do domu kolejnego psa, gdy nasz

wilczur był tak niezwykle zaborczy? Pamiętaliśmy z żoną jego walkę ze swym ojcem o dominację w domu. Ileż to razy musiałem je rozdzielać, gdy Szaman wczepiony w gardło ojca starał się go zadusić. Nie, nie mogliśmy sobie pozwolić na jeszcze jednego psa.

\*\*\*

Dążyłem do wycofania się z interesu, do likwidacji kawiarni. Nie było to jednak takie proste. Mój błąd, starając się o lokal źle sformułowałem umowę. Miała mnie chronić, zabezpieczyłem się stosunkowo długim, rocznym terminem wypowiedzenia, zamiast tego zmusiła mnie do dalszej walki, musiałem przetrwać jeszcze jeden sezon. Zwolniłem stały personel. Od marca zatrudniałem tylko studentki. Na umowę o dzieło, na kilka godzin. Większość czasu pracowałem sam. Nalewałem piwo, parzyłem kawę. Czasami pomagała mi żona. Coraz rzadziej jednak. W domu czekały zwierzęta, a ja w pracy musiałem coraz częściej pozostawiać do późna w nocy. Na szczęście mam podzielność uwagi, w chwilach wolnych, gdy lokal świecił pustkami czytałem kolejne książki, opracowywałem je, wciąż pisząc swą *Historię dramaturgii*, wciąż też pracując nad doktoratem.

Nie zrezygnowałem również z prób realizacji projektu teatru tańca. Myślę, że była to pewna forma samoobrony. Jakaś nadzieja na sukces... odległa, bardzo niepewna... ale jednak szansa. Moje kupony totolotka. Nawet tańsze, i szansa nieco większa. Niewielka, ale jednak większa.

Odwiedził moją kawiarnię Janusz Hajdun. Znaliśmy się od wielu lat, szanowaliśmy się wzajemnie. Dawno go nie widziałem. Słyszałem o nim, że jest wybitnym kompozytorem. Realizował muzykę do wielu filmów, musicalu... Nie mogłem się oprzeć. Pokazałem mu scenariusz *Życia za życiem*. Zgodził się napisać muzykę... Zajmie się tym jesienią... Zawarliśmy umowę. Ustną. Dwadzieścia tysięcy. Jego nazwisko mogło jednak otworzyć wiele drzwi.

Nie będę już w tej opowieści wracać do Janusza, dlatego od razu wspomnę, że nic z naszej współpracy nie wyszło. Janusz niestety zachorował, później zmarł. To tylko życie, śmierć jest jego nieodłączną częścią.

Rok po śmierci Janusza został wydany komplet płyt z jego muzyką. Cztery płyty, godziny nagrań. Muzyka poruszająca, ale nie do teatru tańca... nie usłyszałem nawet minuty muzyki, która mogłaby być ilustracją do jakiegokolwiek sceny mojego scenariusza. Szkoda...

Mając umowę z Januszem, zacząłem rozglądać się za choreografem. Musiałem skompletować zespół twórców, później znaleźć wykonawców, by móc zwrócić się do Ministerstwa i Samorządów z wnioskami o dofinansowanie tego projektu. Były na to pieniądze, można było aplikować o duże kwoty. Wartościowy scenariusz, dobrzy, uznani zawodowi autorzy, znani wykonawcy... Były szanse... Dlaczego miałem nie próbować?

To normalne działania w świecie sztuki. Ja szukałem współautorów i wykonawców, inni artyści szukali projektów. Choreografów znalazłem bez trudu. Pierwszy przyszedł Wojciech Misiuro. Scenariusz podobał mu się. Długo opowiada o swej koncepcji pracy z tancerzami. Woli amatorów, absolwenci szkoły baletowej są jego zdaniem już zmanierowani. Oni nawet inaczej chodzą. Wojtek wstaje i prezentuje mi jak chodzą tancerze po ukończeniu szkoły, a jak jego amatorzy.

Udaję się na rozmowę z dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego. Znamy się od lat. Gdańsk jest mimo wszystko niewielkim miastem.

– Misiuro? Świetnie. On stracił swój teatr... Możecie połączyć siły.

Po jakimś tygodniu otrzymuję od Zosi, krytyka sztuki, ale wówczas również agentki sąsiadującej z „Literacką” kawiarni „U aktora”, jej pracę o Misiuro. Gruby, bogato ilustrowany album jej autorstwa. Oglądam zdjęcia z jego spektakli, odrzuca mnie ta estetyka. Mój scenariusz jest o miłości, rodzinie, a w scenach jego przedstawień dostrzegam przedmiotowe traktowanie ciała. Może i jest on wielkim artystą, może jest wysoko ceniony przez krytykę... Nie znam się na tańcu, ale postanawiam zdać się na intuicję. Nie, nie widzę szansy naszej współpracy.

Kolejnym choreografem był Jarosław Staniek, wówczas już dość znany. Realizował w Teatrze Muzycznym w Gdyni Opętańca. Głośne przedstawienie, które jednak szybko zeszło z afisza. Zadzwoiłem do Warszawy. Przyjechali. Staniek miał asystentów. Agentka i prawnika. Przedstawiam im projekt, scenariusz, patronaty...



– Widzę, że większość roboty już zrobione – ocenia agent Stańka.

W duchu śmieję się, lecz nie okazuję tego. Jaka robota? Patronaty? Cóż z tego wynika. Pokazuję im decyzję ZAiKSu mówiącą o rejestracji libretta. Zainteresowanie panów jakby zgasło. Nie wiedziałem jeszcze wówczas z jakiego powodu... Do dziś nie wiem. Z próby tej współpracy również nic nie wyszło.

Mimo wszystko podejmuję działania w celu rejestracji własnego stowarzyszenia. To za radą wspomnianego wyżej dyrektora Urzędu Marszałkowskiego.

– Musisz mieć podmiot, który wystąpi o dotację. Fundację, stowarzyszenie...

By założyć stowarzyszenie trzeba było zgromadzić minimum piętnaście osób. Nie było to dla mnie trudne. Na zebranie założycielskie przyszło ich ponad dwadzieścia. Nie miałem złudzeń, przyszli bo ich prosiłem, przyszli bo wiedzieli, że i tak wszelkie ryzyko i koszty poniosę tylko ja. Nie miałem złudzeń, wiedziałem, że nikt z nich nie włączy się do pracy... nie wiedziałem jednak, że niektórzy z nich będą działać przeciwko mnie. Wśród założycieli stowarzyszenia był też Kubat.

Latem Mecenaz w swoim lokalu zatrudnił muzyka. Tak zwanego kantora, który może był, choć moim zdaniem raczej udawał Żyda. Może zresztą miał jakieś korzenie żydowskie. Kto w naszym społeczeństwie ich nie miał? Po tylu pokoleniach współistnienia na tym samym terytorium. Obok siebie, ale i z sobą. Zresztą, w jakim sensie niektórzy z nas określają się Żydami, Tatarami, Kaszubami? Być Żydem w sensie religijnym, zgoda. W sensie państwowym (obywatele Izraela), zgoda. W sensie wewnętrznej tożsamości? Każdy ma do tego prawo. Wycofuję swoje słowa, nie udawał, nie udaje, jest Żydem. Nie ma to jednak dla nas żadnego znaczenia, poczucie tożsamości jest wewnętrzną sprawą każdego z nas. Poczucie tożsamości narodowej, religijnej, płciowej. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, jakie poczucie tożsamości ma jakiś hydraulik, szewc, muzyk, pisarz? Czy musimy wiedzieć, jakiej narodowości, jakiego wyznania i jakie preferencje seksualne ma obsługująca nas kasjerka, czy barman. Nie powinno nikogo obchodzić moje poczucie tożsamości. Gdy nalewam piwo,

ważne bym lał uczciwie i go nie rozlewał, bym był przy tym wystarczająco grzeczny... to wszystko.

Muzyk powinien śpiewać w miarę dobrze. Przez kolejne dni, tygodnie, miesiące kantor śpiewał, lub jak twierdzili niektórzy wydzierał się na zbudowanym przed kawiarnią Mecenas tarasie. Czy przysparzał jego lokalowi dodatkowych klientów? Nie wiem. Z jakiegoś powodu Mecenas wciąż utrzymywał swego muzyka.

Zmorka stała się sławna. Cudem uratowany pies. Odchowany przez człowieka... Jej nieszczęście stało się jej szczęściem. Bardzo szybko znalazła swego nabywcę. Kilka razy uciekła z tarasu kawiarni Literackiej na sąsiedni, na którym stoisko z bursztynami miał pan Krzysztof. Niesłychanie ufna wobec ludzi szybko zdobyła jego sympatię, później zachwycała się nią jego córka. Oczywiście wyraziłem zgodę na odstąpienie im tego psa. Tyle rozsądku jeszcze miałem... Nie powiem, że oddałem Zmorkę bez żadnych uczuć, że wgłębi duszy chciałem ją zatrzymać... Zmorka znalazła swój nowy dom. Stabilny dom.

Zbliżało się lato, kolejny sezon. W kawiarni ruch nieco wzrósł, zwłaszcza w weekendy tłumy ludzi. Zysk jednak wciąż niewielki. Kufel piwa pięć złotych. Jak na tym zarobić? Ceny podnieść nie można, gdyż w sąsiednich lokalach podobne. Orka.

Pomyślałem, by przez sezon poszerzyć działalność. Wokół wszyscy handlowali bursztynem. Mówili wprawdzie, że bursztyn sprzedaje się coraz gorzej i nawet im w to wierzyłem. Najlepszym dowodem na prawdziwość ich słów było to, że sami stali przed swymi stoiskami, oszczędzali pięć złotych za godzinę, które musieliby wypłacić zatrudnionej ekspedientce. Połączenie dwóch działalności miało jednak pewien sens.

Przez ponad miesiąc walczyłem z urzędnikami w Urzędzie Miasta o uzyskanie zgody na ten handel. Nie starałem się o te zgodę, lecz rzeczywiście walczyłem. Podania, rozmowy... Nic z tego... Nawet nie otrzymałem odmownej decyzji... Co z tego, że minął ustawowy miesiąc. Może pan pójść do sądu. Słyszę wreszcie to bezczelne zdanie. Do sądu? Sprawa będzie najwcześniej za rok... Czy wygram? A co wygrali ci szkodnicy? Moją krzywdę?

Wojny małe i duże. Jak określić tę walkę? Była ważna, może miałbym jakieś dodatkowe zyski, które umożliwiłyby mi wyjście z tego interesu z mniejszymi stratami. A może tak miało być? Może upór urzędników uratował mnie przed kolejną stratą? Przecież organizując tę sprzedaż musiałbym ponieść jakieś inwestycje. W czasie kolejnego jarmarku wyraziłem zgodę na to, by jedna ze studentek Akademii Sztuk Pięknych wystawiła gablotę ze swymi wyrobami z bursztynu na schodach do mojej kawiarni. Na to nie musiałem mieć zgody. Wyobrażenie innych z zewnątrz zawsze przerasta faktyczny obraz sytuacji. Już wówczas interesy „bursztynowe” nie były tak dochodowe jak w latach siedemdziesiątych, czy osiemdziesiątych poprzedniego wieku, ale legenda o krociowych zarobkach ludzi bursztynu wciąż trwała.

Studentka przed dwa tygodnie sprzedawała tylko jedna broszkę, po czym, mimo że jarmark wciąż trwał, przestała wystawiać swoją gablotę.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednej próbie ratowania mojego interesu. Kwirski. Znałem go od wielu lat. Prowadził kiedyś poważne przedsiębiorstwo, później z powodu hazardu wpadł w duże kłopoty. Jakiś czas spędził nawet pod celą. Bywa i tak. Niewielu jednak w naszym społeczeństwie jest ludzi aktywnych, przedsiębiorczych. Pojechałem do Kwirskiego z propozycją współpracy w realizacji mego przedstawienia teatru tańca. Zaproponowałem mu spółkę. Nawet nie wiedziałem, że ten z jakiegoś powodu również zaczął szukać swej szansy w sztuce. Prowadzi mnie na zaplecze swych warsztatów. Pokazuje elektroniczne pianino. Uczy się grać, śpiewa. Później, jadąc jego samochodem do mojej kawiarni, wyjmuję ze schowka płytę.

– Masz. Nagrałem ją pół roku temu. Miałem koncert w „Manhattanie”. –  
Niezwykle żywotny człowiek.

Mój pomysł przedstawienia zupełnie go nie interesował. Jednak lokal przy ulicy Mariackiej? To jest pomysł. Zrobimy tam lodziarnię. Przyjechaliśmy do kawiarni. Kwirski wyjął całówkę. Już wcześniej musiał o tym pomyśleć. Mierzy. Tu poszerzymy okno, na ogródek. Tu będzie produkcja... Sprzęt i naczynia mam. Prowadziłem rok temu lodziarnię w Sopocie. Wpadnij do mnie jutro. Pogadamy. Zobaczysz, zrobimy duży interes.

Następnego dnia znów odwiedzam go w firmie.

– Jakie warunki proponujesz? – pytam.

– Tam wjedzie taczka pieniędzy. Nie mieszasz się do niczego i po wszystkim masz trzydzieści procent.

Oczywiście odmówiłem. Pomysł wydał mi się zbyt szalony. Nie powiem, że rozstaliśmy się w zgodzie.

Latem sprzedałem w mojej kawiarni tylko jedną kuwetę lodów. Sprzedałem? Właściwie zjadłem je sam. Kawiarnia „Literacka” znajdowała się tuż przed kościołem. Jego cień, nieustanne przewiewy... nie było to najlepsze miejsce na lodziarnię.

27 sierpnia 2007 roku:

*Amerykańska ofensywa w Iraku nie rokuje tak dobrze, jak przedstawiają ją w Waszyngtonie. (...) Już od ponad pół roku dodatkowych 30 tys. żołnierzy USA próbuje opanować sytuację w Bagdadzie i okolicach. W sumie w Iraku jest ponad 160 tys. Amerykanów, najwięcej od obalenia Saddama w kwietniu 2003 roku.*

Lipiec 2007 roku: *Afera w „Samoobronie” – praca za seks.*

Dlaczego zamieszczam tu tę informację? Wbrew pozorom jest w tym jakiś sens. Cena pracy w naszym kraju stawała się coraz wyższa. Tak, niektórzy stawiali na szali nawet swoją godność. Niedługo będę musiał zamknąć kawiarnię. Co robić dalej?

Miałem dość spore doświadczenie w prowadzeniu różnych interesów. Już drugi z nich przyniósł mi krociowe zyski. Jeszcze w czasie studiów produkowałem koraliki. Ceramiczne, z gliny. Przyjaciel rzeźbiarz zrobił mi niewielki piecyk do ich wypalania. Szły jak woda. W połowie lat siedemdziesiątych Polska stała się jednym wielkim placem budowy. Budowano, huty, rafinerie, fabryki... lano beton. Robotnicy dostawali pensje, ale produkcja dopiero miała być. Ich dzieci przyjeżdżając nad morze kupowały i moje koraliki... Później, gdy moda na koraliki minęła robiłem torebeczki ze skóry, którą pozyskiwałem z fartuchów sprzedawanych przez robotników na miejskich rynkach. Pensje były małe,

każdy jakoś „dorabiał”, coś „organizował”. Minął czas torebeczek, produkowałem paski do spodni. Później kolejne firmy... kolejne. Do tego praca w szkołach... Nauczycieli wciąż było zbyt mało.

Było. Czas przeszedł. Wszystko się zmieniło. Niż demograficzny, kolejni nauczyciele tracą pracę. Rozmaite koraliki, wisiorki, biżuterię, torby, torebeczki, paski produkuje bardzo wielu. Zresztą granice są otwarte. Chińczycy zalewają rynek swą produkcją, nie tylko oni zresztą. Moje wcześniejsze doświadczenia są nic niewarte, nikomu niepotrzebne. Nawet mnie.

Wspomnę tu jeszcze o jednym. Pozornie nie ma to związku z powyższymi akapitami, ale jednak. Mimo ciągłych spacerów z psami lubiłem też chodzić po mieście samotnie. Najczęściej spacerowałem po ulicy Długiej, Długim Targu. Jak mówił poznany przeze mnie pod koniec lat siedemdziesiątych Anglik, Wiktor Musgrave, najpiękniejszym salonie Europy.

W drugiej połowie sierpnia właśnie na Długim Targu spostrzegłem tę wystawę. Dziesiątki portretów młodych mężczyzn, którzy w niewyjaśnionych okolicznościach zginęli w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych. Dziesiątki inteligentnych, niebanalnych twarzy. Nie, nie oceniamy innych po wyglądzie. Ten może być mylący. Czytam biografie tych ludzi. Mimo młodego wieku, każdy z nich już coś osiągnął, skończył jakieś studia... coś napisał, stworzył.

Nie ma już tych ludzi. Gdyby, choć dziesięciu, dwudziestu z nich żyło jeszcze o ileż wzbogaciliby życie intelektualne naszego kraju... Gdyby.

Rynek książki wciąż się kurczył. Droga, którą wybrałem też nie rokowała nadziei na poprawę mojej sytuacji materialnej. Miałem i mam tego świadomość. Jednak jestem, pracuję, tworzę. Każdy ma swój los.

Niepowodzenia z Weiss, Stańkiem, Misiurą powodują, że postanawiam sam zająć się realizacją projektu teatru tańca.

Produkcja musicalu, w szczególności na Broadwayu i West Endzie to złożone przedsięwzięcie finansowe. Przypomina strukturę przedsiębiorstwa, które zakładane jest w celu wyprodukowania musicalu, zatrudniającego wiele dziesiątek pracowników. Przystępując do produkcji w USA producent zobowiązany jest zawrzeć umowy z organizacjami zrzeszającymi

dramatopisarzy, aktorów, reżyserów, choreografów, dekoratorów, oświetlaczy, dźwiękowców i garderobianych. Właściciel sceny, na której wystawiany będzie spektakl musi podpisać umowy ze związkami pracowników technicznych sceny (IATSE), kasjerów, woźnych i sprzątaczy, operatorów ciężkiego sprzętu, odźwiernych i bileterów. Producent najczęściej jest jedynie organizatorem – fundusze pozyskuje od inwestorów, a w razie odniesienia przez spektakl sukcesu ma swój udział w zyskach. Przedstawienia na Broadwayu są finansowane zwykle więcej niż przez jednego inwestora, na zasadach spółki z o.o. (*limited partnership*). W przeszłości, gdy koszty produkcji spektaklu muzycznego były znacznie niższe, w teatr inwestowali przeciętni obywatele – na zasadach lokaty czasem przynoszącej zysk, a zawsze dającej dreszcz emocji. W drugiej połowie lat 70. wystawienie musicalu kosztowało przeciętnie między siedmiuset pięćdziesięcioma tysiącami a jednym milionem dolarów, na początku lat 80. około półtora miliona dolarów aż do ustanowienia rekordu przez musical *Cats* (pięć milionów dolarów). Rzadko zdarza się, aby produkcja została sfinansowana w całości przez jednego inwestora. *My Fair Lady* został w całości sfinansowany przez stację CBS (czteryście tysięcy dolarów); w *Annie* (kosztującym osiemset tysięcy dolarów) wniosła stutysięczny wkład wytwórnia filmowa Columbia.

To informacja z Internetu. Warto dodać, że i w Polsce przed wojną dochodziło do realizacji przedsięwzięć artystycznych w podobny sposób.

Przed wojną. Minęło jednak od tego czasu około siedemdziesięciu lat. Większość naszego społeczeństwa pozbawiono własności. Mało tego, w ogóle kwestionowano prawo własności. Skąd dziś wziąć przedsiębiorców, inwestorów. Powoli pojawiali się i tacy, na razie jednak zajęci byli pilnowaniem swoich interesów. Swoich przedsiębiorstw, na które najczęściej musieli się wcześniej zapożyczyć. Nikogo, prawie nikogo nie stać było jeszcze na to, by inwestować w jakieś przedsięwzięcie tylko dla dreszczu emocji. To jeszcze jedna z konsekwencji ostatniej wojny i długiej po niej dyktatury.

Zostaję zaproszony przez kantora na jego ślub. Oczywiście ma się odbyć w lokalu Mecenasa. Żydowski ślub. Rabin z żydowskiego Kościoła reformowanego ma przyjechać z Petersburga. Przyjąłem zaproszenie. Nigdy nie byłem na takim ślubie. W lokalu Mecenasa blisko wejścia po



lewej stronie ustawiono baldachim. Uczestnicy uroczystości nie uważali za stosowne zdjąć ze ściany, albo choćby tylko zakryć wiszący na ścianie naprzeciwko odwrócony krzyż. Niewielu gości. Rabin z żoną. Jej postać, jej twarz robi na mnie ogromne wrażenie. Piękna kobieta o wspaniałych rudych włosach. Ślub jak ślub. Stłuczono kieliszki i po wszystkim. Dziwny ślub myślałem. Żyd nie Żyd, gojka, rabin i ten wiszący na ścianie odwrócony krzyż. Wróciłem do swej kawiarni.

Po jakichś dwóch godzinach zaskoczenie. Młoda para wraz z gośćmi przychodzi do mojej kawiarni. Nie pytam o przyczynę. Może Mecenas miał w tym dniu jeszcze inną rezerwację? Cóż mnie to obchodzi. Cieszyłem się na dodatkowych gości. Zawsze to jakiś obrót. Cieszyłem się tym bardziej, że wśród tych klientów był również rabin ze swoją piękną żoną.

Kolejny wymyślony przeze mnie scenariusz teatru tańca był nawet bardziej rozbudowany od pierwszego. Oparłem go na podobnej koncepcji. Nie można ukazać sensu życia ukazując je tylko w jednym pokoleniu. Znów następstwo. Alegoria. Kolejne pokolenie odrzuci ideę wojny. To tylko marzenie, ale przecież od tego jest sztuka, by wyrażać marzenia.